

Piłsudski kontra Wojciechowski. Trzy dni polskiej wojny domowej

Wojciech Rodak
redakcja@polskatimes.pl

Niemal sto lat temu w Warszawie przelano bratnią, polską krew. Oddziały wiernie Piłsudskiemu starły się z wojskami rządowymi. Zginęło 379 osób.

Była środa, 12 maja 1926 roku. W Warszawie od rana wyczuwało się rosnące napięcie. Choć ludzie, jak co dzień, śpieszyli się do pracy, sklepy były normalnie otwarte, to ilość wojska na ulicach wskazywała, że ten dzień nie potoczy się rutynowo. Po południu z Rembertowa na Pragę wmaszerowały kolumny żołnierzy z oddziałów wiernych Piłsudskiemu. Ich pochód zatrzymał się na mostach zablokowanych przez wojska rządowe.

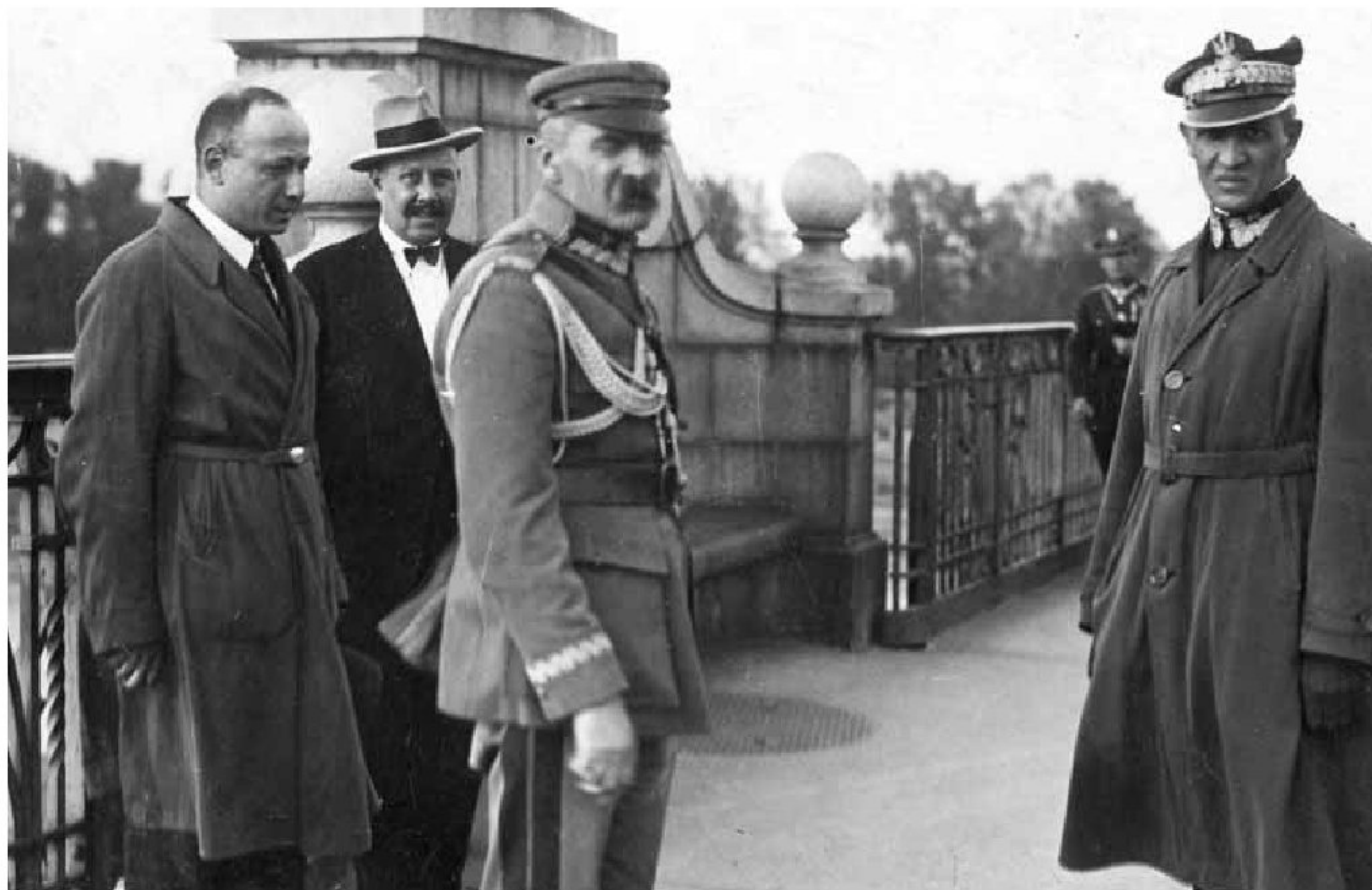
Dłoń marszałka

Między godz. 16 a 17 na most Poniatowskiego przybył prezydent Stanisław Wojciechowski, który nakazał jego całkowitą blokadę. W połowie przeprawy wzniesiono nawet barykadę, na której ustawiono broń maszynową. Tymczasem od strony praskiej nadjechał samochód, z którego wysiadł Józef Piłsudski w mundurze marszałka, w towarzystwie pułkownika Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego i adiutantów.

Chociaż prezydent Stanisław Wojciechowski (dawny PPS-owski tow. „Wacław”) i Józef Piłsudski znali się doskonale, to ich spotkanie, ze względu na okoliczności, nie miało nazbyt przyjemnego przebiegu. Na początku prezydent zignorował wyciągniętą na powitanie dłoń marszałka. Rozmowa była krótka: marszałek zażądał dymisji rządu Wincentego Witosa. Wojciechowski odmówił.

„Żadnej władzy”

By zrozumieć dramat, który rozgrywał się na ulicach stolicy w maju 1926 r., należy cofnąć się o kilka lat. Rozczarowanie Piłsudskiego kształtem polskiej demokracji narastało stopniowo. Gdy tylko opadł pył po zakończeniu konfliktu polsko-bolsze-



Marszałek Józef Piłsudski i generał Gustaw Orlicz-Dreszer czekają na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. 12 maja 1926 roku, około godz. 17

wickiego, system polityczny odrodzonej Polski zaczął się stabilizować. Pełnia władzy – którą w trybie wojennym posiadał Piłsudski, pełniący funkcję naczelnika państwa – na mocy konstytucji marcowej uległa rozproszeniu między parlament, rząd a prezydenta. Przy czym wpływy tego ostatniego były ograniczone: każdą jego decyzję musiał zatwierdzić rządzący gabinet.

W listopadzie 1922 r. odbyły się wybory parlamentarne. Następnie zaproponowano komendantowi kandydowanie na urząd prezydenta. Ten odmówił, wyjaśniając, że funkcja ta nie daje „żadnej realnej władzy”. Bycie figurantem go nie satysfakcjonowało. Ostatecznie pierwszym prezydentem odrodzonej Rzeczypospolitej został Gabriel Narutowicz. To właśnie jemu 14 grudnia 1922 r. Piłsudski przekazał władzę.

Dwa dni później Eligiusz Niewiadomski, inspirowany endecką nagonką przeciwko Narutowiczowi, zabił prezydenta w Zachęcie. Piłsudski był tą zbrodnią zszokowany. Uznał ją za kolejny dowód, że „partyjniactwo”, szczególnie w wydaniu Narodowej Demokracji, jest szkodliwe. Co ciekawe, wtedy

jeszcze komendant powstrzymał legionistów, którzy chcieli dokonać krwawej zemsty na działaczach prawicy.

Piłsudski się wściekł

Komendant mówił, że odchodzi na emeryturę do swojego dworku w Sulejówku. Tymczasem daleki był od zostania zwykłym obywatelem Piłsudskim. Tym bardziej że w Polsce nie działo się najlepiej.

Młoda II RP zmagala się z wieloma problemami. Szalała hiperinflacja, gwałtownie rósł deficyt budżetowy. Sytuacja na przeludnionej wsi była niezwykle napięta, tym bardziej że reforma rolna postępowała nadzwyczaj opornie. Trwała wojna celna z Niemcami, co nadzwyczaj niekorzystnie wpływało na Polską gospodarkę. Wzrastał odsetek bezrobotnych. Co rusz wybuchały gwałtowne strajki robotników.

Czoło tym wielkim wyzwaniom próbowały stawić kolejne rządy, które powstawały w oparciu o nadzwyczaj chwiejne sojusze. Od 1918 r. do maja 1926 r. było ich szesnaście. Ich żywotność wynosiła średnio sześć miesięcy. Nie można było w tym przypadku mówić o prowadzeniu żadnej stabilnej polityki. Ra-

ziło to szczególnie Piłsudskiego. Swojemu niezadowoleniu dawał wyraz w kolejnych wywiadach prasowych. Twierdził, że polski parlamentaryzm znalazł się w kryzysie. – Powstaje coś w rodzaju nierządu, którym jakoby Polska zawsze stała – mówił w rozmowie z „Nowym Kurierem Polskim”.

Towarzysze broni

Piłsudski nie mógł tego stanu rzeczy zaakceptować. Wydawało mu się, że osiągnięcie jego całego życia jest niweczone. Być albo nie być świeżo odzyskanej niepodległości ginie w gąszczu partykularnych i krótkookresowych interesów. Podobnie uważali jego przybocznicy z czasów legionowych. Z czasem wokół Piłsudskiego krystalizowała się grupa kierownicza przyszłego przewrotu. Byli w niej m.in.: Adam Koc, Walery Sławek, Józef Beck, Aleksander Prystor, no i Wieniawa-Długoszowski.

Generałów sprzyjających endecji Piłsudski odwołał z centralnych władz armii, jak gen. Stanisława Hallera ze Sztabu Generalnego, lub przeniósł na placówki oddalone od stolicy. Zamiast nich na kluczowych stanowiskach centralnych umieścił piłsudczyków, jak Norwida-Neu-

gebauera i Konarzewskiego, a np. wspomnianego Orlicza-Dreszera mianował dowódcą 2. Dywizji Kawalerii w Warszawie. Potem spiskowcy jakby usnęli, czekając na dalszy rozwój wypadków politycznych. Na początku maja upadł rząd Skrzyńskiego. Z poparciem koalicji tzw. Chjeno-Piasta (PSL „Piast” i endecji) utworzono gabinet, na którego czele stanął stary wróg Piłsudskiego – Wincenty Witos.

To on nakazał konfiskatę całego nakładu „Kuriera Porannego”, w którym znajdował się kontrowersyjny wywiad z Piłsudskim. Natychmiast pojawiły się pogłoski, że rząd zamierza ściągnąć do stolicy „pewne” oddziały z Wielkopolski i Pomorza. Trzeba było działać szybko. 12 maja przystąpiono do akcji.

Z karabinem na warcie

W dwie godziny po wspomnianym na wstępie spotkaniu Piłsudskiego z Wojciechowskim doszło na moście Kierbedzia do pierwszej wymiany ognia między oddziałami rządowymi a zamachowcami. Kolumny buntowników zaczęły wlewać się z Pragi na lewy brzeg. Parły od Starego Miasta w kierunku dzielnicy rządowej i niezwykle ważnego strategicznie lotniska na Okęciu. Miały one mniej więcej trzykrotną (ok. 4,3 tys. żołnierzy) przewagę liczebną nad lojalistami (1,7 tys.), dzięki czemu szybko zajmowali kolejne kwartały Śródmieścia.

Dowódca obrony miasta gen. Tadeusz Rozwadowski i jego szef sztabu, płk Władysław Anders, postanowili przeczekać najgorsze na pozycjach defensywnych, licząc na możliwość kontrataku. Skoncentrowali swoje siły wokół Belwederu i Łazienek, oczekując przybycia do miasta większej ilości wojsk wiernych rządowi. Oto jak wspominał po latach wydarzenia z 12 maja Jerzy Giedroyc: „Byłem wprawdzie piłsudczykiem, ale miałem zarazem mocne poczucie legalizmu. Pierwszego dnia wydarzeń, wraz z kilkoma kolegami, poszedłem do Belwederu. Dano mi jakiś kara-

bin i kazano stać na warcie od strony Łazienek. A Stanisław Grabski chodził od jednego z nas do drugiego i powtarzał: »Przecież to nie ma sensu. My nie możemy się tu utrzymać«”.

Walki w mieście

Podobnie jak przyszły redaktor „Polityki” i „Kultury” czuła większość mieszkańców stolicy. Zwycięski pochód buntowników przebiegał początkowo wśród tłumów wiwatujących na cześć Piłsudskiego. Następnego dnia, 13 maja, związki zawodowe i partie lewicowe poparły wystąpienie komendanta. Ogłoszono strajk. Kolejarze zatrzymali transporty wojsk rządowych z Wielkopolski i Pomorza.

14 maja siły piłsudczyków uzyskały już czterokrotną przewagę (ok. 9,3 tys.) nad żołnierzami lojalnymi wobec rządu. Udało im się wreszcie przełamać linię obrony na Okęciu i zająć lotnisko. Tym samym odcięto lojalistów od zachodniej strony miasta, skąd spodziewały się one nadejścia posiłków. W następnych godzinach zepchnięto ich na linię obrony w rejonie ulic Marszałkowskiej, Alei Ujazdowskich, Rozbrat i Czerniakowskiej.

Tego samego dnia, późnym popołudniem, dla oblężonych w Belwederze polityków stało się jasne, że dalsze bratobójcze walki nie mają sensu. I prezydent, i rząd podali się do dymisji. Władzę w państwie objął marszałek Sejmu Maciej Rataj. Ten porozumiał się z Piłsudskim i 15 maja ogłoszono zawieszenie broni.

W maju 1926 r. zginęło w Warszawie 379 osób, w tym aż 164 cywilów. To dużo, biorąc pod uwagę, że obie strony nie dopuszczały się żadnych okrucieństw wobec zwykłych obywateli. „Oddziały wojskowe zachowywały się bez zarzutu. Cywile ginęli, gdyż nie umieli zachować się w czasie walk w mieście” – wyjaśniał prof. Andrzej Garlicki. Przyglądano się starciom, stojąc na ulicy, z balkonów i okien, nie zdając sobie sprawy, jak łatwo zginąć od przypadkowej kuli.